**Zeszyt 30.** Lwów dnia 30. Października 1879. **Rok I.**

# STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark. | WYCHODZI dnia 10go, 20go 30go każdego miesiąca. | W. MANIECKI Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

## POKUTA.

POWIEŚĆ

Józefa Rogosza.

(C. d.) Gdy kościół stanął, zjechał biskup i prałaci, aby go poświęcić. Był to najpiękniejszy dzień w życiu ks. Józefa, chociaż równocześnie był on grobem jego dalszej karjery. Dostojnicy widząc księdza skromnego, który o dworactwie najmniejszego nie miał wyobrażenia, osądzili, że na takiem stanowisku będzie mu najlepiej; to też aby ks. Kaczorskiego nie zebrała kiedy chęć ubiegania się o lepszą parafję, jeden z powierników biskupa dał mu niedwuznacznie do zrozumienia, że Garbowice nie mogą obejść się bez niego. Tym sposobem młodzi księża otrzymywali tłuste probostwa i kanonje, a ks. Józef siedział ciągle na biednej kapelanji, chwaląc Boga i pracując dalej dla dóbra bliźnich.

Tak był szczodrym, tak wspierał pomocy potrzebujących, że panna Kunegunda, prowadząca jego gospodarstwo, mimo że nigdy zbytnią tuszą nie grzeszyła, teraz u brata bardziej jeszcze wyschła, i nie raz bała się, by oboje z głodu nie pomarli. Ksiądz nigdy nie zapytał czy będzie objad, i nigdy się nie zdziwił, jeżeli go nie było. W takich wypadkach, a w początkach powtarzały się one dosyć często, wystarczał mu na objad kawałek suchego chleba z dwoma jabłkami, których kilkanaście miał zawsze na piecu, w swojej kancelarji. Tak było w początkach, dopóki panna Kunegunda nie nauczyła się z bratem postępować. Widząc że pieniędzy nigdy on nie ma, wszystkie bowiem między ubogich rozdzielał, postanowiła dbać przynajmniej o spiżarnię, aby przy jej pomocy nie tylko się wyżywić, lecz także ubrać. Zwyczaj to powszechnie u nas przyjęty, że proboszczom, zwłaszcza w miejscowościach źle wyposażonych, nie tylko włościanie i mieszczanie, lecz także właściciele większych posiadłości, przysyłają co pan Bóg dał, mianowicie: mąkę, masło, krupy, ser, ziemniaki i tym podobne wiktuały, czasem także połeć słoniny, kiełbasy, lub nawet całego prosiaka. Panna Kunegunda brała tedy wszystko i w takiem ukryciu utrzymywała, że brat ani wiedział, jak zasobną była jego spiżarnia. Część tych wiktuałów szła na utrzymanie domu, drugą część mieniała na gotówkę, za którą ubierała proboszcza i siebie. Sąsiedzi widząc, jak niepraktycznym jest ks. Józef, zrobili naradę, na której postanowili kupić mu krowę, parę koni, bryczkę i jakie takie mebelki. Gdy proboszcz to otrzymał, dziękował jak dziecko płacząc, ale podarunku nie uznał za swoją własność.

— Ja sam nie mam żadnych potrzeb — mówił — więc co panowie byliście łaskawi ofiarować, uważam za fundusz kościelny, który mojemu następcy zostawię.

Doglądał też krowy, gdy jechał przestrzegał, by się konie nie zmęczyły, a na meblach w saloniku sam nigdy nie siadał, bojąc się by się nie zniszczyły. On miał swój stołek drewniany, drugi z leszczyny w kształcie fotelu wypleciony, i drewnianą ławeczkę pod oknem, miękkich przeto mebli nie potrzebował.

Ks. Józef nigdy się nie uniósł, nigdy nie rozgniewał; wielką już u niego było rzeczą, jeżeli po dwakroć coś powtórzył, i do tego z naciskiem. Ale za to można go było zniecierpliwić, chociaż udawało się to jednej tylko pannie Kunegundzie, która gdy opuściła śluzy swojej wymowy, gotowa była mówić od wschodu do zachodu słońca.

— Piękne mi gospodarstwo! — wołała — ksiądz nie ma porządnej rewerendy na grzbiecie, a ja wyglądam jak nieboskie stworzenie! Aż mnie wstyd, że mam takiego brata! Bo żeby to jegomość przecie raz pomyślał, czy warto wspierać tych darmozjadów, którzy tu codzień przychodzą! Taka szczodrobliwość to nie cnota, to obraza Pana Boga! Lada kto przyjdzie i ksiądz pcha w niego pieniądze jak

w dziurawy worek, a sam nie ma całych butów na nodze. Wstyd powiedzieć, ale gdybym wczoraj nie była pozszywała rewerendy, dziś nie miał byś jegomość wyjść w czem do kościoła. Śliczne gospodarstwo! Trzeba nie mieć rozumu i Boga w sercu, żeby o sobie tak nie pamiętać.

Tym tonem przemawiała panna Kunegunda; proboszcz słuchał z początku obojętnie, udając, że nic nie słyszy; lecz gdy to nie pomogło, wynosił się cichaczem do drugiego pokoju, a jeżeli i tam siostra go znalazła, umykał do sieni, ztamtąd zaś, czasem nawet bez kapelusza, w pole. Wtedy panna Kunegunda wracała na opróżniony plac boju, a ksiądz tymczasem wyjąwszy z kieszeni brewiarz, z którym się na chwilę nie rozstawał, szedł daleko w pole i dopiero nad wieczorem wracał do domu. Po każdej takiej scenie, siostra brata przepraszała, całując go po rękach i nogach, co księdzu jeszcze większą przykrość sprawiało, niż poprzednie jej gadulstwo a koniec bywał zawsze ten, że się oboje dobrze spłakali.

Czy prócz namiętności do dobrych uczynków, miał ks. Józef i inne jeszcze upodobania? Miał... Oto lubił muzykę i sam grywał na skrzypcach. Organistą był przy nim zawsze człowiek z pewnem wzkształceniem muzykalnem, a dzieci wiejskie uczyły się spiewać w szkole, której ksiądz pilnie doglądał. Sam wieczorem, zwłaszcza w lecie, brał skrzypce. które nad łóżkiem wisiały, a usiadłszy przy oknie otwartem, grał długo, godzinami całemi. A smętne bywały te tony, które z martwego dobywał instrumentu, jakby serce grającego skarzyło się, że świat go nie zrozumiał, a ludzie je zranili i zdeptali! Nuta weselsza, swobodniejsza, rzadko się odzywała...

W najbliższem miasteczku stał szwadron huzarów węgierskich; trwało to do czasów ostatnich, dopóki pułki węgierskie, wskutek dualizmu w Austrji zaprowadzonego, nie wróciły do Węgier. Gdy to nastąpiło, zamiast huzarów przyszli ułani. Za owych więc czasów, kiedy szwadrony węgierskie były jeszcze rozsypane po całej Galicji, probostwo w Garbowicach było raz widownią sceny następującej.

Proboszcz, korzystając z pięknej nocy czerwcowej, grał długo na skrzypcach, nie mając innych słuchaczów krom małych ptaszków, które zbudzone muzyką, wtórowały mu cichym świegotem. Ksiądz był by grał może do rana, siedząc ciągle w oknie otwartem i patrząc na księżyc, który powoli, w licznym gwiazd orszaku, płynął po stropie niebieskim, i kto wie, czy zorza poranna nie była by go ze skrzypcami zastała, gdyby nie panna Kunegunda, która widząc, że dwukrotne upomnienia nie skutkują, prawie przemocą zmusiła brata, że skończył serenadę. Rad nie rad powiesił skrzypce nad łóżkiem, nad którem wisiały jeszcze czarny krzyż i obrazek przedstawiający Matkę Zbawiciela, rozebrał się i spać się położył. Właśnie sen zaczął mu sklejać powieki, gdy w jasnem świetle księżycowem, ujrzał tuż przy oknie krępą postać huzara. Między huzarami było niemało cyganów, których liczne tabory włóczą się po Węgrzech, a że cyganie z dawien dawna kraść lubią, więc ten niezbyt szlachetny sposób przywłaszczania sobie cudzej własności, rozpowszechnił się bardzo w pułkach huzarów węgierskich, cyganie bowiem nie tylko sami dobrze kradli, lecz także uczyli tego rzemiosła swoich kolegów. Gdzie huzarzy stali, nie było kaczki, gęsi, kury, wszystkie bowiem, lubo nie kupione, szły dla nich na pieczyste. Jeden z tych miłośników cudzej własności, nie mogąc snać w miasteczku nic już dla siebie znaleźć, pojawił się teraz pod oknami ubożuchnego probostwa w Garbowicach, które od miasteczka leżało o pół godziny drogi.

Ksiądz nie przestraszył się, nie krzyknął, nawet się nie ruszył. Z oczyma na pół przymkniętemi leżał dalej spokojnie, czekając co z tego wyniknie. Huzar okno podważywszy, bez trudności otworzył, proboszcz bowiem okien na zasówki w lecie nie zamykał, i jak mógł najciszej wszedł do pokoju. Ujrzawszy się w sypialni człowieka śpiącego, ostrożnie, na palcach, muru się trzymając, przeszedł do pokojów przyległych, z których jeden był przeznaczony na przyjmowanie gości, drugi na kancelarję. Nie znalazłszy tam nic, nic zgoła, mrucząc z wielkiego niezadowolenia, wrócił napowrót do sypialni, gdzie prócz łóżka, stołu jasionowego, drewnianej kanapki i kilku stołków, znajdowała się jeszcze tylko duża szafa, stojąca naprzeciwko okna. Huzar otworzył szufladę w stole, ale w niej nic nie znalazł; nie było nawet tytoniu, ksiądz bowiem ani cygarów, ani fajki nie palił; potem przystąpił do szafy, a ponieważ i ona była próżna, więc zawiedziony począł kląć pod nosem i obrócił się do pieca, na którego gzymsie leżało kilkanaście jabłek, wydających bardzo miły zapach. Huzar zdesperowany sięgnął ręką, zdjął jedno i białe zęby w niem utopił. Musiało być jednak bardzo kwaśne, bo się skrzywił, zaklął straszliwie i przez okno otwarte do ogrodu jabłko wyrzucił. Potem spojrzał na śpiącego. Na krzesełku przed łóżkiem leżała rewerenda, na ziemi stały buty nie pierwszej już młodości, a nad łóżkiem skrzypce stanowiły cały majątek mieszkańca tego domu. To odkrycie huzarowi bardzo się nie podobało, a że nie miał więcej co tu robić, więc postąpił do okna, aby wyjść z próżnemi rękoma.

— Panie huzar! — dał się nagle słyszeć łagodny głos za jego plecami — oknem niewygodnie... proszę drzwiami, drzwi otwarte.

W pierwszej chwili huzar drgnął i omało nie upadł ze strachu, lecz oprzytomniawszy, podniósł rękę i z głośnem przekleństwem rzucił się ku miejscu gdzie łóżko stało. Proboszcz siedział właśnie na twardem posłaniu, a księżyc, który świecił ukośnie, oblewał blaskiem łagodnym jego rysy zbolałe, a tak szlachetne! Jasnością nieziemską musiało to oblicze promienieć, skoro żołnierz zamiast znieważyć kapłana, za to, że mu nie mógł nic ukraść, stanął

przed nim pomięszany, zawstydzony i jak przed przełożonym rękę pokornie spuścił ku ziemi.

— Panie huzar znalazłeś co? — ksiądz zapytał.

— Nic.

— Jeżeliś nic nie znalazł, to zostaw co na budowę kościoła.

Huzar skręcił się jak piskorz, coś mruczał, przeklinał, ale pod wpływem tego spojrzenia anielskiego, które na nim spoczywało, wyjął z kieszeni guldena, pokornie obok łóżka na stoliku położył, i jednym susem przez okno wyskoczył.

Zdarzyło się to właśnie wtedy, gdy proboszcz wątpić już zaczynał, ażali zdoła ukończyć budowę kościoła. Na drugi dzień była niedziela. Ks. Józef wyszedł na ambonę, a pokazując guldena i oświadczając, że otrzymał go na budowę kościoła od pewnego huzara, który prawdopodobnie sam więcej nie miał, tyle przy tej sposobności pięknych rzeczy powiedział, i tak trafił do przekonania zgromadzonych w kościele obywateli wiejskich, że w tym jednym dniu złożyli więcej niż przedtem przez rok cały, czem przyspieszyli ukończenie budowy.

W kilkanaście lat później, cała wschodnia Galicja drżała na wspomnienie Neczuperowicza. Był to opryszek sprytny i zuchwały, który na czele bandy dobrze uorganizowanej napadał dwory szlacheckie, które bądź okradał, bądź rabował. Pewnej nocy, a było to w sam wielki Piątek, ks. Kaczorski słyszy jakieś głosy w pokoju swojej siostry, która właśnie przed kilku dniami wyjechała była do drugiej siostry chorej. Nie przeczuwając jakich ma gości, zapala świecę, wstaje, boso idzie ze światłem na drugą stronę domu, otwiera drzwi i widzi przed sobą Neczuperowicza z liczną drużyną. Zuchwały opryszek dobrze wiedział, że u księdza w Garbowicach nie znajdzie ani pieniędzy, ani klejnotów, ale ponieważ ze swoimi towarzyszami wracał z dalekiej wyprawy, i wszyscy byli bardzo głodni, więc po drodze postanowił wstąpić na probostwo, aby się posilić. Obliczenia nie zawiodły. Dzięki zapobiegliwości panny Kunegundy, która jak zwykle przed świętami Wielkiejnocy hojne odbierała podarunki, spiżarnia była pełna. Przekonali się o tem prędko opryszki, bez trudu bowiem znaleźli szynki, kiełbasy, wódkę gdańską i wino, poczem uczta się rozpoczęła.

Proboszcz we drzwiach stanąwszy świecę wypuścił i ręce załamał.

— Chryste panie! — zawołał — wielki Piątek, a wy mięso jecie?!

Któryś z bliżej stojących przyskoczył, uderzył księdza i chwycił go za włosy siwe; drudzy jednak nadbiegli i staruszka z rąk mu wyrwali. Biedny kapłan spojrzał znowu na gości nieproszonych, a taka święta groza biła z jego oka, że naczelnik rabusiów zebrał natychmiast swoję drużynę i przepraszając gospodarza, wyniósł się z jego domu.

Niech jednak nikt nie sądzi, że ks. Józef Kaczorski był może człowiekiem wiary wielkiej, a rozumu małego. Przeciwnie! rzadko można dziś znaleźć kapłana tak wszechstronnie jak on wykształconego. wolne chwile bowiem obracał zawsze na czytanie dzieł poważnych, ale ponieważ wiara, w której się urodził, i dla której całe swoje życie poświęcił, była w jego duszy głęboko zakorzenioną, więc wszystko cokolwiek czytał do jej prawd odnosił, chcąc je zrobić jeszcze piękniejszemi i w nich bardziej się utwierdzić. „Czem dusza dla ciała, tem kościół dla świata!“ zawsze powtarzał, a że nad uszlachetnieniem duszy wszyscy ludzie zacni całe życie pracują, więc i on pracował dla kościoła, a przez niego dla wiary. Za te cnoty jedni nazywali go dziwakiem, drudzy nieznośnym nudziarzem, inni znowu hipokrytą, świat bowiem rozumie tylko rzeczy codzienne, zwyczajne, a w tych, które wznoszą się po nad poziom mierności, zwykł zawsze szukać stron ujemnych. Że jednak nie wszyscy byli tego zdania, dowodem szacunek, jakim go otaczali państwo Zapolscy i wielu innych, którzy go czcili jak świętego. I nie tylko sami obywatele ziemscy mieli o nim takie wyobrażenie; nawet między księżami ruskimi, jakkolwiek ci z łacińskimi wcale nie sympatyzują, proboszcz z Garbowic był uważany za zjawisko nadzwyczajne, nieziemskie prawie, który cnotą swoją mógł nawet szatana pokonać. Że w rzeczy samej między księżami ruskimi takie się o nim zdanie utrzymywało, przekonywa nas zdarzenie następujące, które głośne było w całej okolicy

## VI.

Parochem unickim w Żurawce był ks. Nykoła Hawryłowycz, który przed rokiem 1848 pisał się przez *wicz*, lecz później ulegając rozkazom św. Jura, z Mikołaja Gawryłowicza, zrobił się Nykołą Hawryłowyczem. Miał on parafię bardzo dobrą i dzieci nie wiele, to też powszechnie utrzymywano, że siedział na pieniądzach. Jakże by zresztą nie miał robić majątku, skoro najstarsi ludzie we wsi pamiętali go zawsze w jednym i tym samym surducie, który ongi był bronzowy, teraz zaś zrobił się czarny, tyle na nim było plam tłustych; i w jednym a tym samym kapeluszu, który przed laty był czarny, lecz na deszczach i słońcu tak wyrudział, że zrobił się bronzowy. Żona parocha na swoją garderobę także wiele nie wydawała, a że córki wszystkie już były wyposażone, więc ks. Hawryłowycz musiał robić pieniądze. I jakże by ich nie miał robić, skoro wieś była bogata, tak bogata, że gospodarze umierając, przeznaczali parochowi za „pochoron“ ten konia, tamten jałówkę lub krowę, inny wołu, a byli i tacy, którzy na pogrzeb zostawiali dla niego samego po sto guldenów. Do tych ostatnich należał Semko Mahometa, jak nazwisko wskazuje, potomek jakiegoś Tatara, który z innymi osiadł podczas wojen dawniejszych na Rusi Czerwonej, gospodarz bardzo zamożny, mający całe dwa grunta, t. j. 40 morgów ziemi, cztery konie i rogatego bydła sztuk kilkanaście. Otóż stary Mahometa umierając polecił ustnie swemu jedynakowi i spadkobiercy, Wasylowi, by za „pochoron“ dał

księdzu 100 papierków. Stary umarł, Wasyl ojca pochował, ale gdy przyszło płacić za pogrzeb, markotno mu się zrobiło, i zamiast stu, dał tylko 25 guldenów. Paroch schował papierki do kieszeni udając, jako by o ostatniej woli nieboszczyka nic nie wiedział.

Wasyl wrócił niedawno z wojska, gdzie go nauczono rozmaitych rzeczy, które w gospodarstwie nie bardzo są potrzebne, mianowicie pić i grać w karty. Odziedziczywszy po ojcu prócz ziemi, także sporo gotówki, zaczął w karczmie po całych dniach przesiadywać i hulać w najlepsze. Następstwa tego postępowania wkrótce czuć się dały: gotówka przeszła do kieszeni arendarza i przejezdnych szulerów, we wsi bowiem, dzięki Bogu, jeszcze ich nie było, dobytek marniał, w polu nic się nie rodziło. Dziwił się Wasyl, dla czego jemu się nie wiedzie, skoro ojciec robił majątek siedząc na tej samej ziemi; dziwili się we wsi inni próżniacy, którzy zamiast pójść na zarobek, bądź w chacie na ławie do góry brzuchem leżeli, bądź w karczmie się zapijali; nie dziwili się tylko włościanie pracowici, ale ci znowu żadnych Wasylowi uwag nie robili, chłop bowiem ruski tak jest zimny, tak obojętny na wszystko i dla wszystkich, że go nawet sąsiad najbliższy nic nie obchodzi. Gdy złe poczęło groźne przybierać rozmiary, Wasyl przestraszony poszedł do starej Jewdochy, którą wieś za wróżkę uważała, i prosił ją o radę. Jewdocha jednak, która tego dnia była w humorze nie najlepszym, właśnie bowiem zdechł jej był spory wieprzek, którego mimo całej władzy wróżbiarskiej ocalić nie mogła, przyjęła go głośnym krzykiem:

— Czyś się wściekł Wasylu, czy co, że mnie napadasz? — zawołała. — Przecie ja nie pan Bóg i nawet tyle nie umiem, co nasz jegomość. Jeżeli więc potrzebujesz rady, idź do niego.

Pierwszy to dopiero raz się zdarzyło, że Jewdocha wątpiła o swojej nieomylności i wszechwiedzy; snać wielka boleść po stracie wieprzka skłoniła ją do takiego prawdy wyznania. Wasyl słysząc to, w głowę się poskrobał.

— Oj! — odrzekł — do księdza nie pójdę, bo my teraz nie żyjemy *Bruder a Bruder*.

Wasyl nauczywszy się w wojsku kilkudziesięciu słów niemieckich, rzucał niemi dowolnie na prawo i lewo, co gromadę napełniało szacunkiem dla jego edukowanej osoby. Jewdocha przypomniała sobie teraz owe sto guldenów, które Wasyl po śmierci ojca parochowi nie oddał, o czem swojego czasu cała wieś mówiła. Będąc z natury kobietą bardzo przebiegłą, w mgnieniu oka ułożyła plan działania, który miał jej i wieprzka wrócić, i w dodatku przynieść jeszcze kilka papierków.

— Zapomniałam — rzekła — że wy się z księdzem gniewacie... prawda, prawda... Ha! kiedy taka twoja wola Wasylu, to chyba już ja sama będę ci musiała poradzić, ale nie dziś... trzeba pierwej coś przygotować... rozumiesz mnie przecie... przyjdź więc jutro nad wieczorem, a wszystko będzie dobrze.

Wasyl uszczęśliwiony wrócił do domu, wyglądając niecierpliwie dnia następnego. Jewdocha tymczasem wyszła chyłkiem z chaty i prościuteńko pospieszyła do parocha. Przeszło godzinę naradzała się z jegomością, a gdy nazajutrz Wasyl do niej przyszedł, w te słowa przemówiła:

— *U tebe je win!*

Wasylowi ze strachu włosy dębem na głowie stanęły. *Win* (on) lub *toj* (ten) znaczy tyle co *didko* (djabeł), Rusini bowiem lękają się wymienić go po nazwisku. A więc on miał djabła w swoim domu, który go rujnował! Z drugiej atoli strony ucieszył się, że to tylko z djabłem sprawa, na którego są sposoby wielorakie, żeby się go z domu pozbyć, bo według zdania Rusinów, jedynie przeciw złym ludziom nie ma środków zaradczych. W każdej wsi są kobiety djabłów wypędzające, a Jewdocha słynęła z tego na kilka mil w około. Wasyl zaczął ją przeto prosić, by coprędzej wybrała się do niego celem wypędzenia złego ducha, ale wróżbiarka tak odpowiedziała:

— Ten, który u ciebie siedzi, jest większy niż każdy inny i ja mu nie podołam... tu tylko nasz jegomość i to przy pomocy jeszcze drugiego księdza mógł by mu poradzić.

Wasyl poskrobał się w głowę.

— Nie wiem — rzekł — czy ksiądz zechce przyjść do mnie.

— W tem już twoja głowa, Wasylu! Bez jegomości nic się tu nie zrobi, bo i święconą wodą trzeba kropić, i cztery ewangelje odczytać.

— Ta dobrze, Jewdocho, ale jak zrobić, żeby jegomości sprowadzić?

— Ta jak... trzeba pójść do niego, ukłonić mu się pokornie i dać ze wszystkiego dziesięcinę, a drugiemu księdzu i djakom osobno zapłacić.

Wasyl porwał się za głowę.

— Dziesięcinę! — zawołał — taż to bardzo wiele! Chociaż mi się tego roku prawie nic nie urodziło, mam przecie blisko sto kóp, a i bydła jest sztuk przeszło dwadzieścia. Prawda, żem się w banku zapożyczył, ale gospodarstwo dobrze jeszcze wygląda. Jeżeli więc dam dziesięcinę naszemu parochowi, drugiemu księdzu i djakom pieniądze, a i wy Jewdocho za darmo także nie radzicie, to *win* będzie mnie kosztował więcej niż dwie setki.

— A jak ci zje wszystko, to cię mniej będzie kosztował?

Wasyl znowu się w głowę poskrobał; widocznie słuszność wróżbiarce przyznawał. Chciał jeszcze uwagi robić, ale gdy ona raz ostatni powtórzyła, że inaczej być nie może, postanowił pójść do parocha. Poszedł też zaraz, a upadłszy mu do nóg, prosił, by się nad nim ulitował i djabła mu z domu wypędził, za co przyrzekał dać dziesięcinę. Ks. Hawryłowycz wysłuchał z miną poważną, a nie wspominając nic o owej setce, której nie dostał po śmierci starego Mahomety, przyrzekł nazajutrz rano do Wasyla przyjechać, aby mu ulżyć w jego utrapieniu. Chłop odchodząc nie posiadał się z radości. (C. d. n.)

# Złamane Serca.

Powieść

przez autora „Chorób Galicji.“

## XXIX.

(Dok.) Mała, ciemna i wilgotna była izdebka, w której dr. Czudek znalazł schronienie. Orszak pogrzebowy, odprowadzający Juljana Rossowskiego, nie doszedł jeszcze na cmentarz, a zabójca jego siedział już w kaźni, przygnieciony surową dłonią sprawiedliwości. Ragnera taki sam los spotkał. I on siedział zamknięty, ale w celi innej, na końcu korytarza. W kaźni trzeciej, signor Beppo Villani dumał o znikomości szczęścia ludzkiego.

Dr. Czudek był człowiekiem przytomnym, i bystrym adwokatem. Chociaż od jego uwięzienia, do pierwszego przesłuchania, upłynęło ledwie pół godziny, rozpatrzył się już dostatecznie w nowem położeniu i dobrze wiedział, jak powinne brzmieć jego zeznania. Z początku przeląkł się niezmiernie, gdy jednak pierwszy strach go opuścił, tak zaczął rozumować:

Muszą mieć nie poszlaki, lecz dowody, skoro mnie uwięzili... kto wie, czy nie znalazł się testament oryginalny... może Wojciech złożył jakie ważne zeznania, a może i Villani co wypaplal. Bądź co bądź sprawa jest stracona i teraz trzeba myśleć o ratunku. Przeczyć wszystkiemu? Na nic się nie zda. Będą mnie trzymali rok, dwa, trzy w śledztwie, a potem jeżeli zasądzą, to nawet tych lat za karę mi nie policzą. Tyle zyskam!... więc wszystko wyspiewać? Najrozumniej! wszakże wyznania muszą być w tej formie zrobione, by z nich prawdziwa korzyść dla mnie wypłynęła. Mateuszku! miej rozum. Najlepiej dla mnie wypadnie, jeżeli przyznając się do winy, równocześnie wystąpię jako oskarżyciel Ragnera, i całą odpowiedzialność na niego zwalę. Bo i czemuż, pytam, nie miałbym tego uczynić? Czy skłamię? Bynajmniej! Jakem poczciw to on mnie do wszystkiego namówił, on plan ułożył, on Villaniego sprowadził, on Wojciecha wysłał, on nakoniec podtrzymywał głowę umierającego. Jakem poczciw, ja nawet nie wiem, że pan Czarkowski był wtedy nieprzytomny..., ja pisałem tylko to, co mi lekarz dyktował, sam zaś odgrywałem rolę bierną. Jakem poczciw, jam nie winien! Gdy to wszystko powiem przy pierwszym zaraz protokole, sąd weźmie to potem jako okoliczność łagodzącą, i za zwykłe wspólnictwo, zasądzi mnie najwięcej na dwa lata, gdy przeciwnie Ragnerek pójdzie najmniej na ośm latek. Ale to za moją krzywdę, że okradł nieboszczyka... Przeczuwałem, że mu to na dobre nie wyjdzie!

Taki plan ułożył sobie dr. Czudek w drodze z domu do więzienia, i wierny swemu postanowieniu, stanąwszy przed sędzią śledczym, wyspiewał wszystko od początku do końca. Sędzia ani przypuszczał by mu dochodzenie tak łatwo poszło.

Czudek znalazłszy się w kaźni, aż ręce zatarł z radości, że Ragnerowi takiego figla wypłatał, i jeżeli czego żałował, to pieniędzy, które w domu w kasie zostawił.

— Gdybym je był schował — myślał sobie w duchu — to wyszedłszy z kozy miałbym przynajmniej żyć z czego. Tymczasem sąd zabierze. A to ze mnie hebes, żem nie przewidywał, co mnie może spotkać! że mi odbiorą dyplom adwokata, z tego sobie nic nie robię, adwokaci pokątni stoją najlepiej, ale moich pieniążków szkoda... Jakem poczciw głupstwo się zrobiło!

Założył w tył ręce, zaczął się przechadzać. Człowiek jak on upadły, nie wstydził się hańby i nie obawiał się zbyt surowej kary, ponieważ wiedział, że ludzka sprawiedliwość może go dosięgnąć jedynie za najmniejszą jego zbrodnię, mianowicie za udział w fałszowaniu testamentu; gdy przeciwnie za zbrodnię największą, za zamordowanie Juljana i złamanie serca Wandzi, sąd nawet go do odpowiedzialności nie pociągnie. Ale adwokat zapomniał, że ponad sądem ludzkim i ziemską sprawiedliwością, jest sąd Boga i wyższa sprawiedliwość!

Ledwie kilkanaście minut przechadzał się po kaźni, a już musiał usiąść, tak się uczuł osłabionym. Nogi pod nim drzały, w uszach miał szum, język był spragniony, w całym organizmie czuł niepokój. Dopiero teraz przypomniał sobie, że mu brakło tej siły życiodajnej, do której od lat wielu uciekał się z upragnieniem — że nie ma morfiny. Dopiero ta myśl, że bez niej żyć nie potrafi, grozą go przejęła. W mgnieniu oka z cynika, śmiejącego się z dobrej sławy i uczciwości, zrobił się tchórz, żałujący życia i lękający się każdego cierpienia fizycznego. Myślał, wzdychał, jęczał, a potem zwiesił głowę i płakać zaczął.

Wszedł lekarz więzienny. Na jego widok dr. Czudek oblicze rozpromienił. Po oględzinach, które niedługo trwały, a dokonanych w przytomności dozorcy, adwokat zapytany przez lekarza, czy się nie czuje cierpiącym, rzekł:

— Wszystko będzie dobrze, tylko przyszlij mi konsyljarzu trochę morfiny.

— Co, morfiny?

— Tak jest konsyljarzu! Jak jej nie dostanę, z pewnością umrę.

Doktor roześmiał się na całe gardło.

— Szkoda — rzekł — że pan nie żądasz opjum, to środek jeszcze przyjemniejszy niż morfina i bardziej upajający.

— Ale konsyljarzu! — Czudek zawołał. — Ja proszę o morfinę dla zdrowia, aby żyć, ja bez niej skonam!

— Mało mnie to obchodzi — lekarz odpowiedział, i nie spojrzawszy więcej na więźnia, wyszedł.

Dozorca chciał wyjść za nim.

— Panie *kerkermeister!* — jęknął Czudek, za rękę go przytrzymując. — Nie opuszczaj mnie! Na litość boską nie opuszczaj!

— Daj mi pan pokój! — odparł dozorca, dość rubasznie natrętnika odsuwając.

— Ten doktor jest bez serca, bez miłosierdzia — mówił Czudek łzami się zalewając — on mi żałuje trochę morfiny... Mój Boże! że też człowiek może nie mieć litości nad bliźnim! Ale pan, panie kerkermeister będziesz miłosierniejszym, ty mi tego nie odmówisz... prawda że mi nie odmówisz?

— Czego pan chcesz? — zapytał dozorca.

— Morfiny.

— A to co takiego?

— Jakżeż ja to panu wytłumaczę — odparł adwokat, a po krótkim namyśle dodał: — Najlepiej będzie, jeżeli napiszę kilka słów, z któremi pan pójdziesz do pierwszego lepszego lekarza... on mi przyszle.

— To nie wolno.

— Powiedz pan, że to dla ciebie.

— Kłamać także nie wolno.

— Drogi panie kerkermeister! nie odmawiaj mi tej łaski! Ja nie jestem biedny, więc wyszedłszy z tąd dobrze cię wynagrodzę. Jakem poczciw wynagrodzę! Ja tu długo nie posiedzę, może rok, dwa najwięcej, słowo honoru panie kerkermeister.

— Szkoda pańskiego gadania — odparł dozorca.

— Ja ci dam tysiąc guldenów, dwa, trzy! — krzyczał Czudek, chwytając go znowu za rękę.

— Idź pan do stu djabłów!

— Panie kerkermeister! ja ci dam pięć, dziesięć tysięcy, tylko przynieś mi trochę, ach! trochę morfiny! — wołał dalej adwokat, całując i łzami zlewając rękę dozorcy.

Ale ta pokora nie przebłagała surowego człowieka. Silnem ręki poruszeniem pozbył się proszącego, który u nóg jego padł na ziemię. Dozorca spojrzał na niego z pogardą.

— Teraz litości żebrzesz! — rzekł — a nie miałeś litości nad tym biednym panem, którego przed godziną na cmentarz wywieźli! Niech cię djabli porwą!

— Prawda żem łotr, złodziej, fałszerz! — krzyczał dr. Mateusz Czudek, chwytając się kurczowo nóg dozorcy — wszystko prawda! Ale morfiny! Choć kroplę morfiny!

I płakał i nogi mu całował i jak pies wlókł się za nim, póki dozorca nie stracił reszty cierpliwości.

— Idź precz, podły! — zawołał, a kopnąwszy leżącego i uwolniwszy się od jego uścisków, wyszedł z kaźni, którą na klucz zamknął.

Adwokat został na ziemi bezprzytomny.

Kilka dni pasował się z sobą, znosząc najstraszliwsze tortury, i w nadziei, że pokorą uzyska sądu łaskawość, i morfiny dostanie, opowiadał niepytany całe życie swoje, wszystkie nikczemności, jakich się kiedykolwiek dopuścił, i swoje zbrodnicze z Juljanem postępowanie. Sędzia zapisywał, uważając te szczegóły jako obciążające winę oskarżonego, ale morfiny dać mu nie pozwolił.

Przy końcu dnia szóstego, dr. Czudek dobywając sił ostatka, wpadł w furję, a gdy się uspokoił, znajdujący się przy nim lekarz oświadczył, że więzień dostał pomięszania zmysłów. Kilkodniowa obserwacja potwierdziła to orzeczenie w zupełności. Czudek w rzeczy samej zwarjował, a tem straszniejszą była jego warjacja, że bardzo często, prawie co dzień, odzyskiwał przytomność. Wtedy swój stan rozumiejąc, płakał, rozpaczał, nawet włosy z głowy sobie wyrywał i błagał, by mu życie odebrano. To znowu prosił, by go okuto w kajdany i skazano na całe życie do więzienia, byle go nie oddawano do domu obłąkanych. Tego bał się teraz bardziej niż śmierci samej. Próżne prośby i narzekania! Sąd kazał go odwieźć do Pijarów.

Pijarami nazywają we Lwowie gmach, który należał niegdyś do OO. Pijarów, gmach obszerny i mający najpiękniejszy fronton w mieście. Stoi on w górnej części ulicy Łyczakowskiej, i w nim mieści się główny szpital. Do ostatnich czasów, zanim stanął odpowiedni zakład na Kulparkowie, znajdował się tam także oddział dla obłąkanych. Tam więc kazał sąd przewieźć dra Czudka.

W asystencji komisarza policji i dwóch ajentów, wyruszył adwokat z więzienia krytym powozem. Komisarz kazał woźnicy jechać po przed cmentarz. Utraciwszy córeczkę przed kilku miesiącami, stroskany ojciec chciał jej złożyć na grobie wieniec z pierwszych kwiatów wiosennych. Konie zatrzymały się przed bramą cmentarza. Komisarz wysiadając, polecił ajentom, by więźnia dobrze strzegli, gdyż właśnie odzyskiwał przytomność. Stosownie do tego rozkazu, jeden ajent został w powozie, drugi z kozła zeskoczył i przy drzwiczkach stanął.

Nieopodal bramy cmentarnej, obok świeżo usypanej mogiły, klęczały dwie postacie: mężczyzna i kobieta; o kilka kroków głębiej stali dwaj panowie z głowami odkrytemi. Czudek przez kryształową szybę powozu, wlepił tam wzrok obłąkany. Chociaż żadnej twarzy nie widział, wszyscy bowiem byli do niego plecami obróceni, zdawał się poznawać te osoby. Oczy jego robiły się przytomniejsze, rozumniejsze i usta

otworzył, jakby chciał przemówić. W tem kobieta w żałobie klęcząca podniosła się i bladą twarzą obróciła się ku powozowi. Poznał ją, krzyknął, oburącz oczy sobie zasłonił i upadł w głąb powozu.

Była to Wandzia!

Co dzień odwidzała ona z ojcem grób narzeczonego, a dziś w dniu jego urodzin, przyszli mu także złożyć wieńce Storch i sir Wiliam Ellington.

XXX.

Juljan dostawszy u adwokata krwiotoku, wiedział od pierwszej zaraz chwili, że żyć nie będzie. Jeżeli nikomu o tem nie mówił, to dla tego, że nie chciał nikogo martwić. Przedewszystkiem bał się, by Wandzia nie dowiedziała się, że mu jakiekolwiek grozi niebezpieczeństwo.

On ją tak kochał, że mimo pewności, iż żyć nie będzie, łudził ją uśmiechem i nadziejami.

Że Juljan wiedział co go czeka, mamy tego dowód w testamencie, który spisał nazajutrz po wypadku u adwokata, gdy znalazł pierwszą chwilę wolną. Brzmiał on jak następuje:

„Wiem że żyć nie będę — choroba moja jest śmiertelną. Ludzie umierający miewają czasem wielkie przeczucia, równające się jasnowidzeniu. Otóż to przeczucie mówi mi teraz, że Czudek i Ragner sfałszowali testament mojego wuja i że prawda na jaw wyjdzie. Jeżeli to nastąpi i majątek śp. mego wuja na mnie spadnie, a ja już wtedy żyć nie będę, to niech przejdzie na zupełną i nieograniczoną własność mojej narzeczonej, panny Wandy Wybickiej, której sercu także Wojciecha polecam. Co do mego magazynu, ruchomości i książek, te zapisuję poczciwemu Storchowi, dziękując mu serdecznie za przyjaźń, której tyle dowodów miałem od niego w ciągu mego życia. Jakiś człowiek szlachetny, którego nie znam, a który nawet swojego nazwiska nie wymienił, dowiedziawszy się o nieszczęściu, jakie mnie spotkało i chcąc honor mój ocalić, zaspokoił Czudka. Na Storcha wkładam obowiązek odszukania tego człowieka, aby w mojem imieniu podziękował mu za ten czyn szlachetny. Jeżeli zaś majątek na mnie spadnie, zwróćcie mu wszystko do grosza. Ja spieszę tam, gdzie mnie wieczny spokój otoczy, a was, którzy tu zostajecie, przedewszystkiem zaś Ciebie droga Wandziu, błagam, zaklinam na wszystko! nie rozpaczaj po mojej śmierci. Źli ludzie nie pozwolili połączyć się nam na ziemi; Bóg złączy nas w niebie. Tymczasem duch mój będzie czuwać nad Tobą. Do widzenia w lepszej krainie!“

Na ziszczenie się przepowiedni chorego nie długo trzeba było czekać. Czudek poszedł do domu obłąkanych, gdzie umarł w pół roku; Ragnera zasądzono na kilkoletnie więzienie, signor Beppo Villani otrzymał karę zasłużoną, a majątek śp. pana Czarkowskiego, odebrany oszustom, stosownie do rozporządzenia Juljana, został wręczony pannie Wandzie Wybickiej. Przyjęła go i rewers podpisała. Potem poprosiła Storcha, by sir Wiliamowi odwiózł jego pieniądze, część jednę przeznaczyła na grób murowany i pomnik dla Juljana, a resztę zawinąwszy w arkusz białego papieru, na stół położyła i w pakiet wpatrzyła się okiem, w którem się najwyższa boleść malowała.

— Cóż zrobisz z temi pieniądzmi? — zapytał ojciec.

— Co zrobię, nie wiem jeszcze, ale to wiem, że ich nie zatrzymam.

— Czemu?

— Bo by mi się zdawało, że dlatego umarł, by mnie zrobić bogatą, i że majątkiem chciał zmniejszyć mój ból po jego stracie. O! nie, ja wolę zostać biedną i cierpieć, a wiecznie go kochać!

Ojciec słowa więcej nie przemówił. On tak córkę rozumiał i tak podzielał jej przekonania, że i w tym wypadku Wandzia dała taką odpowiedź, jaką on pragnął usłyszeć. Przystąpił do niej, w czoło ją pocałował i szepnął łzę ocierając:

— Dzięki ci córko droga!

W tydzień później, rozmaite towarzystwa i zakłady dobroczynne otrzymały kwoty znaczniejsze, nie wiedząc od kogo. Wspaniałomyślny dobroczyńca pragnął swoje nazwisko zachować w tajemnicy, aby mu nikt nie dziękował. I tajemnica zachowuje się ciągle, chociaż nie jedna sierota, nie jedna wdowa, nie jeden starzec i kaleka, jego ofiarności swoje życie zawdzięczają.

Gdy grób został wymurowany i skromny posąg na nim stanął, pan Wybicki otrzymał posadę przy budowie kolei Lwowsko-Czerniowieckiej. Nie potrzebujemy dodawać, że to sir Wiliam o nią się wystarał.

Miejsce, w którem zamieszkali, było odludne. Przy nasypie drogi żelaznej stał domek malutki, do najbliższej wioski, było pół godziny drogi, w około rozciągała się okolica smutna, melancholijna, jak natura tego ludu, który tę ziemię zamieszkuje. W miejscu, gdzie był domek, w lat kilka stacja stanęła, w której pan Wybicki pozostał nadal w podrzędnym charakterze magazyniera kolejowego. Nie wstydził się tej posady, i Wandzia nigdy się nie zarumieniła, jeżeli ją żona naczelnika stacji zastała przy najcięższych, domowych zajęciach. Wprawdzie stary Wojciech był przy nich, lecz ten nie wiele im pomagał. Bardziej się postarzał i do reszty zdziecinniał. To, że testamentu pana Czarkowskiego nie przypomniał sobie zaraz po jego śmierci, wpłynęło tak niekorzystnie na umysł staruszka, że często mówił od rzeczy i głośno powtarzał, że to on zabił panicza.

Dwa razy do roku, raz na urodziny Juljana, drugi raz na dzień zaduszny, Wandzia z Wojciechem do Lwowa jeździła. Wtedy długie godziny trawiła na jego grobie, wtedy mogiła narzeczonego okrywała się kwiatami świeżemi. Z jednej z tych wycieczek wróciła sama. Wojciech wzruszony na grobie panicza i znużony modlitwą za spokój jego duszy, usnął spokojnie, aby się więcej nie zbudzić.

Odtąd ojciec i córka sami zostali. Sir Wiliam, ukończywszy budowę kolei i pożegnawszy tę, którą kochał tak bezinteresownie, odjechał do Anglji, aby po mglistych ulicach Londynu błąkać się także z sercem złamanem. Wandzia żegnając go, płakała jak za bratem. Te łzy były mu pociechą i pamiątką.

Lat kilkanaście mieszkali na pustkowiu, ukrywając ból na dnie duszy, mając dla ludzi zawsze uśmiech na ustach, a pomoc dla biedniejszych od siebie. I dziwili się urzędnicy kolejowi, czemu panna Wybicka nosi głowę dumnie, jak królowa, i czemu żadną miarą nie chce wyjść za mąż, chociaż z nich nie jeden starał się o jej rękę. Dziwili się nie wiedząc, że kobieta, jak ona, bez miłości nie może wyjść za mąż, a dwa razy kochać także nie może. Wszakże na świecie był jeden człowiek, który się jej nie dziwił — a tym był ojciec.

Tak upłynęło lat kilkanaście. Z hożej dziewicy zrobiła się kobieta, o kształtach posągowych, poważna a słodka, uśmiechnięta a wiecznie zbolała. Piękność nie uleciała z jej twarzy, bo jak robaczek, gdy wpadnie w bryłę bursztynu, nie traci swoich kształtów, tak i ona, wśród bezmiaru czystej boleści, nie uroniła żadnego ze swoich wdzięków. To była piękność jesieni, która nie odurza, ale spokojnie zachwyca.

Przed trzema miesiącami, pisał znowu pan Ludwik Wybicki. List jego był tym razem bardzo przyjemny. Oto donosił, że hrabina K. spłaciwszy nareszcie wszystkie długi na Pilawicach ciężące, chciała teraz zwrócić majątek panu Stanisławowi i w tym celu, prosiła pana Ludwika, by on swego brata natychmiast do Warszawy zaprosił. Pan Ludwik czyniąc to, nie gniewał się na kuzynkę, że go zupełnie pominęła i na wszystkie świętości zaklinał Stanisława, aby natychmiast przyjeżdżał.

„A weź Wandzię z sobą — pisał między innemi — bo jeżeli jej nie przywieziesz, to jak babcię kocham, na śmierć się zagniewam.“

Pan Stanisław nie robił sobie wiele z tej pogróżki. Wiedząc, jak brat jego umiał być lekkomyślnym, nie podziękował natychmiast za posadę, czego on stanowczo od niego żądał, lecz wziął urlop na trzy miesiące, a umieściwszy Wandzię w domu pani Zawirskiej, mającej w okolicy piękną posiadłość i trzy lube córeczki, pojechał sam do Warszawy zbadać położenie.

Trzeciego dnia po przyjeździe tamże, napisał do Wandzi, by się przygotowała do wyjazdu, lecz później zajęty tysiącznemi interesami, więcej o tem nie wspominał. Dopiero wczoraj otrzymała nowy list od ojca z żądaniem, by się przygotowała do drogi. List ten przyniósł jej *Azor* do ogrodu — a wieczorem pan Wybicki sam przyjechał.

## XXXI.

Tak więc widziałem ją wczoraj.

Pan Wybicki, mimo, że nad życie Wandzię kochał, skutkiem boleści, których tyle zaznał, był często zgryźliwy, kapryśny, a wtedy córce prawie zawsze brak loiki wyrzucał. Gniewał się na nią i teraz, że się nie przygotowała do drogi; wszakże powoli, zwalczony jej słodyczą, czoło rozjaśnił, a przy herbacie był nawet całkiem wesół.

— Jak się ma stryj Ludwik? — Wandzia zapytała.

— Bardzo dobrze... czerwony jak ćwik a i apetyt ma doskonały. Niktby nie przypuścił, że wstąpił w siedemdziesiątkę.

— A co słychać w Zarzeczu?

— Państwo Rylscy żyją... panna Aleksandra wyszła dzięki Bogu dobrze za mąż i ma już pięcioro dziatek.

Wandzia bardziej pobladła i oczy spuściła. Wszak Olesia była Juljanem zajęta! Teraz przypomniała sobie i ją na łące, i połów raków, i jego!... Westchnęła.

— Ponieważ znalazłem wszystko, jak mi brat pisał — mówił dalej pan Wybicki — więc jutro rano pojedziemy pociągiem pospiesznym, nigdzie się niezatrzymując.

Panny Zawirskie usłyszawszy to, spojrzały na Wandzię okiem żałośnem, a Henrysia ujęła ją za rękę. Wandzia niemym uśmiechem podziękowała im za sympatję.

— Pojedziemy prosto, nigdzie się nie zatrzymując? — powtórzyła.

— Przepraszam cię, Wandziu, przepraszam! Bo to widzisz, czasem i mężczyźni loiki nie mają.

To powiedziawszy, pochylił się i Wandzię w rękę pocałował.

Pani Zawirska i jej córki miały łzy w oczach. Za to siostra pani Zawirskiej, ta sama, której rano nie podobała się zaduma Wandzi, widząc, że ojciec własne dziecko w rękę całuje, przejęta oburzeniem odwróciła się w inną stronę.

Tak było wczoraj.

Dziś rano widziałem ich we Lwowie, na grobie Juljana. Złożywszy mu wieńce ze świeżych kwiatów, uklękli i oboje w głębokiej utonęli modlitwie. Modlili się długo, bardzo długo... Potem Wandzia schyliła głowę i może ostatni raz

w życiu ucałowała ziemię na tej mogile, w której złożyła wszystkie marzenia i nadzieje...

Otarła łzy, i wsparta na ojca ramieniu, krokiem chwiejnym ruszyła ku bramie cmentarnej.

W połowie drogi stanęła, jakby ją co zatrzymało; obróciwszy się, raz jeszcze spojrzała na mogiłę ukochaną.

Jasne słońce nad nią świeciło — małe ptaszęta świegotały między drzew gałązkami — kwiaty jaśniały we wieńcu — umarły spał snem wiecznym...

I w jej duszy zapanował sen wieczny — bo jej serce było urną, w której spoczywały drogie popioły wspomnienia.

W południe odjechali.

Czy Bóg umyślnie wybrał te dwie dusze, aby czystością swoją świadczyły, że mimo nieszczęść, zdrad, obłudy, i tylu innych zdrożności, w jakie ziemia obfituje — człowiek w pielgrzymce przez łez dolinę, może przechować tę ducha nieskazitelność, która nań przy urodzeniu z nieba spłynęła?

A po tylu zawodach, burzach i cierpieniach, nie mogąc więcej znaleźć szczęścia, czyliż przynajmniej znajdą oni spokój upragniony?

Pisałem w Nowem Siole
pod Stryjem w r. 1879.

KONIEC.

---

# DRUHY.

NAPISAŁ BOHDAN.

(Dok.) Kobzar obrócił się i stanął twarz w twarz z Amazonką. Spojrzała mu bystro w oczy, na czoło, potem na odzież prostą, aż do końca schodzonych butów, potem znowu w oczy i potrząsła głową.

On na ten przegląd patrzył spokojnie, śmiało i uśmiechnął się, jak dziecko łagodnie.

I jej usta drgnęły uśmiechem, powiodła okiem po taborze i rzekła dźwięcznym głosem:

— Pomabaj Bih! lude dobryj.

— Daj Boże zdorowla! — odpowiedziano głuchym pomrukiem.

Na rozgrzane słowami spiewaka umysły, przybycie ludzi ubranych „po pańsku“ nie dobre uczyniło wrażenie. Czumacy poglądali z podełba, niechętnie, nie jeden podumał: „pro wołku rozhowor“...

Amazonka spojrzała po chmurnych twarzach i zwróciła się do kobzara:

— „W dumi, w piśni, sława wasza, sława Ukrainy!“ skazaweś prawdu! Tylko ty spiewaku źle spiewasz, darmo żurysz ludzi... Jakie pieśni, naród taki, — jakbyś zawsze tylko smutno spiewał, to i oni złedaszczalib' na nyszczo!

Wzięła z rąk jego teorban stojący na ziemi, węborek przewróciła do góry dnem, siadła na nim i zarzuciła taśmę na plecy...

Chwilę brząkała palcami po strunach, potem wzięła kilka akordów, krótkich, dzwięcznych i zaspiewała:

— „Szcze ne wmerła Ukraina,
I sława i wola,
Szcze nam bratcia uwłodei
Usmiechniet sia dola!“

Spiewała ze stepowem zacięciem, w głosie jej silnym, czuć było poryw namiętnej, kozaczej duszy.

Czumacy z początku słuchali, potem się zasłuchali... stali jak wryci, jak oczarowani, nie śmieli oddychać, potem w chłopach przed chwilą, poczęli się budzić kozacy...

Otoczyli ją kołem ciasno zbitem...

— „Duszu, tiło my położym
Za swoju swobodu,
I pokażem szczo my brat'cia
Kozackoho rodu!...“

brzmiała pieśń...

Cisnęli się koło niej — twarze im się płomieniły, słuchali i patrzyli po sokolemu!

„Nechaj zhinut' worohy,
I wola nastane!...“

teorban brzęknął — pieśń się urwała... Amazonka odetchnęła lekko i spojrzała po Czumakach.

— Hrajte! — rzekł któryś.

— Hrajte! hrajte! — ozwały się głosy z różnych stron

— Jakąż by wam? — spytała.

— Jaku nebud'!

— Kozaczą!

Ona się zamyśliła.

— Kozaczą?!

Znowu zabrzękły struny teorbanu — zadźwiękła stara zaporozka pieśń o Omelku co to wzdumał jechat na Zaporożei...

„Konia kupyw takoho,
Jak u Atamana samoho
Ne maje...“

Skończyła. Nie dawano jej pokoju — „szcze i szcze“. I lałyż się pieśni, lały, a stare, a dzikie, rodzinne, stepowe! i pro „Czałoho“ i „Puhacz“ i o Świergowskim jedna i druga,

„Tody iż Niża chmara stjahała,
I woroniw klucza nabihała,
Po Ukraini tumany kłała,
A Ukraina sumowała....
Oj swoho Hetmana płakała...“

Nieopodal, za taborem, gromadka ludzi na pastwisku stała. Tam Czumaków kilku wzięło na spytki kozaka. Kozak młody, jak topola wyniosły, na licu krasny jak dziewczyna — koniom uzdeczki z łbów pozdejmował i pasł... półgłosem dumkę nucił, a Czumakom odcinał się od niechcenia.

— A zkąd wy?

— Oj, z daleka...

— Deż to wona?

— To daleko? ot, jakij!... U niego szcze materine mołoko pod nosem, a znaty chocze de to daleko... daleko to, oj! kudy!... nezaichaw by ty tam i na swoich sywych wołach.

— A gdzie jedziecie?

— Z za sebe, pered sebe... Ha! sokił nie bij! — krzyknął na konia. Siadł na ziemi, nahajem po butach trzepał.

Czumacy konie otoczyli.

— Dobre konie u was — rzekł któryś. Kozak głową skinął:

— Oj!...

— Ot krasawce!

— Który?

— Wrony, i duży i zoczny, choć pod hetmana!

— Ja wolałbym gniadego — odparł drugi — i chrudistyj i nogi pod nim dobre...

— A toj! — skinął kozak na konia z damskiem siodłem.

Czumacy głowami kręcili.

— Ee... i niewielki i hładki nie taki...

— Cztery takie nie stoją jednego karego.

Kozak się roześmiał.

— A ja za te dwa jednej nogi bureńka nie oddałbym.

— Ehe?

— Dobry koń! — pogłaskał konia po chrapach. — Zjedź Ukrainę jak zechcesz, takiego nie znajdziesz.

— Chybaż on lotny?

— Nasze wszystkie lotne, a jego żaden nie przegoni... kopnie, to czysty wiatr w polu.

Rozgadał się o koniach mołojec. Czumacy podpytywali:

— Co to za tacy?

— Kto?

— Wony! — wskazywali głowami w stronę taboru — ten młody pan?

Kozak rozciągnął się na trawie.

— Pan — ta nie mój!

— A wona?

— Diwczyna... to nie baczysz?

— Laszka?

— Może Laszka, może nie — albo ja wiem. A tobie na co synku?

— Tak sobie... To grafianka, ha?

— Ona więcej jak grafianka.

— Kniaziówna, czy co?!

— Oj wyżej kniaziówny!

— Chybaż cariwna?

— Może szczo i cariwna, aby nie moskiewska. — Zadumał się. — Ja cariwni nie służył bym!

Od ogniska płynęły tony tęsknej dumy i lały się ze srebrnemi promieniami księżyca po szerokim kraju.

Czumacy słuchali.

— Ot, spiewa!

— Nie po pańsku!

Kozak posłuchał.

— Tiło też u niej tylko pańskie, dusza horjacza, kozacza — odparł zwolna.

Już księżyc przebiegł większą połowę nieba i chylił się ku zachodowi, kiedy Amazonka zdjęła ze siebie teorban.

— Spasy Bih wam! — chórem ozwali się Czumacy.

Harasym machnął ręką.

— Daj Boże wam zdorowla! Jakby takich pieśni często słuchać, toby człowiek stał się innym jak jest!

— Spiewacież bo... — dodał drugi.

Amazonka oczami szukała twarzy kobzarza. On dotąd stał na boku, oparty na kiju i płonącego oka z pod brwi silnie skupionej z amazonki nie spuszczał. Patrzał, a słuchane pieśni chodziły mu tumanami i płomieniem po licu...

Amazonka skinęła na niego — zbliżył się szybko — podała mu teorban — on teorbanu nie wziął, tylko bystro spojrzał w jej oczy.

— Kto wy?

— Laszka...

Jemu oczy zabłysły.

— Ja Lachów nienawidzę!

— Wiem o tem — odparła, ale zaraz dodała: — i szanuję was...

— Szanujecie wy? Laszka?

— Ja — odparła z mocą — szanuję was za to, co widziałam tu i słyszałam! Szanuję was! — i oko jej zabłysło — szanuję ich! — wskazała na Czumaków — szanuję naród wasz cały i kraj wasz!... Naród. że od wieków chłopiony, stepy, że orane — a przecież zawsze wy i one jednacy!

— To dziwo — gorzko ozwał się kobzarz — bo takie od wieków już Ukrainiec nie usłyszał słowa „szanują“... Od wieków Moskwa z Polską ciągną nas każda do siebie, szarpią, aż krwawią!

Zamilkł, potem mówił dalej!

— Moskal mówi nam coś o języku, hraždance i prawosławnej wierze — Polacy o jakiejś kołysznoi unii i słowiańskiem pobratymstwie... Wiaraż to! wiara... jedna pod carskim knutem i unia u pańskiego progu! — Cierpko się uśmiechnął. — „A wolni z wolnymi, a równi z równymi“. Od wieków my nie słuchając śnimy o swobodzie! więc Moskwa na nas: „Polaki sukinsyny“, Polska z drugiej strony: „Moskale!“ Ci i ci razem: „perekinczyki! chamy kozaki!“ W Petersburgu nałają nam, nakrzyczą... we Lwowie naradzą, namówią, napiszą... Wrzystko pro nas, ta pro nas, a nikt nie przyzna, że my naród sam sobie, dobry jak każdy inny, a nieszczęśliwszy jak wszystkie razem w Europie! Och! nieszczęśliwszy, sto, tysiąc razy! bo zabierają nam rzecz najświętszą! To, co szanował świat w Negrach, nam nie przyznaje, mówiąc, że dumę wolności szepcą nam Polacy lub moskiewscy wysłannicy w uszy... Gdyby tak raz kto posłuchał tej dumy naszej, to poznał by, że jej źródło nie we wrażych ustach, lecz w wolnych duszach naszych! To darmo! Nie posłucha jej nikt, nikt nie uszanuje tego, co w nas dumne i harde, dzikie i ciemne, a wielkie, a mocne, a jasne, a boże!

Urwał, głowę wsparł na dłoni i dumał.

Czumacy zdala układali się w trawie. Milczenie panowało głuche... On dumał długo — potem patrząc w płomień ogniska, mówił jakby do siebie.

— Narody wolne! A któryż z nich wolny? Żaden! Największy, najpotężniejszy w Europie, czy wolny? — nie! Rosja w swoim ogromie, Prusy w sile, czy wolne? Nie! Anglja w potędze finansowej? Nie!... Może Hiszpania, albo francuzka republika? Nie! nie! to wszystko niewolnice, jeśli nie czyje, to swoje własne... Wszystkie one spokojne i zadowolone z położenia swego, a jeśli którym zawładnie gorączka rewolucyjna, to „na barykady“ ze słowem „wolność!“ biegną na bagnety... Ale to gorączka ciała, szkodliwe zapalenie głowy, nie natchnienie ducha! Walczą sami nie wiedząc za co? za jakąś urojoną marę

wolności! Dlategoteż do czego prowadzi zwykle podobna rewolucja?... giną... Ojciec godzi w pierś syna, brat morduje brata, aż wycieńczeni ustają, sadząc sobie na karku w miejsce króla, królika, dyktatora, który pod płaszczem republikańskim nosi ostrogi dość ostre na boki zmęczonego narodu!... I toż nazywa się republiką? wywalczoną wolnością?!...

Na taką tylko pozwalają sąsiedzi, o innej marzyć nawet nie wolno! Europa to kolos bezduszny! rządzi się rozumem, nauką, posiada instynkta inteligentne, ale nie ma duszy! Wolność to duch!

Europa jest materją — duch jest duchem!... Materjalizm ducha nie zna i nienawidzi! Narody w Europie, to jak koło w olbrzymiej maszynerji — jedno drugie popycha, jedno drugiem do obrotu potrzebne, dla tego też tylko znoszą się i żyją obok siebie...

Europa znosi tylko to, co jej potrzebne do obrotu — co uzna za niepotrzebne, wyrzuca! Duch w tej całej olbrzymiej robocie psułby porządek z jakim to wszystko się kręci — więc precz z nim!

Raz... to co odrzucone od świata, niebiańskie, nieujęte... odżyło kiedyś... tutaj... Swoboda polała się pieśnią... zaszumiała wiatrem bujnym po stepie... na morskich spiętrzonych falach kozaczą dumą wylatała w obłoki!

Z świata całego wolność umiłowała lud prosty, szczery i dziki, zlała się na niego! Pod jej tchnieniem, cudem ludziom wyrastały skrzydła, stawali się orłami, sokołami, czy tam kozakami... to na jedno! ale nie byli zwykłymi ludźmi. Pławili harde czoła w promieniach słońca, upajali się wiatrem, żyli pieśnią i sławą. Był naród, była republika Boża! Nie było stanów, nie było pana i chłopa, nie było pychy, nierówni... była hardość, duma jedna i jedna dusza w wszystkich piersiach — była kozaczyzna...

I zląkł się świat... drzał przed tem, czego pojąć nie mógł... Z początku zdumiały patrzał martwemi oczami potem natężył wszystkie zmysły jak zgubić kozaczyznę... Począł się kłaniać, podstępem nałożył pęta na jej skrzydła, Ci, którzy nawykli patrzeć w słońce, żyć swobodą, zostali ślepcami na ziemi! Ciemnota niewoli otoczyła ich dokoła... Oni jak szaleni rzucali się ślepo! Niedawno naród wolny, potężny, chwiał się długo... potem zaczął rozpadać się, aż upadł!...

Urwał, ukrył twarz w dłoniach i rzekł głosem stłumionym:

— Kozacy spadli do imienia „rzezuniów"...

Chwilę tak stał z twarzą w dłoniach, potem naraz podniósł głowę i spojrzał na Czumaków.

— Hajdamaczyzna... to grzech! ale nie twój mój serdeczny narodzie! — powiódł okiem w około. — I nie twój mój cudowny kraju!

Lica jego przed chwilą wykrzywione goryczą, teraz płomieniły się uczuciem wielkiem... w głosie drżała kozacza, rozrzewniona dusza.

— Europa zadała wolności cios w samo serce! Nie ma jej na ziemi... spi w mogiłach z kozaczyzną razem!... Giniemy my, ale także giną inne narody... klątwa kozacka nad Europą, a nad nami — spojrzał w niebo i zdjął czapkę z głowy: — Bóg!

Amazonka siedziała dotąd cicho, z twarzą opartą na obu dłoniach i słuchała.

— A kto wy? — spytała z cicha.

On drgnął, wstrząsł się z zadumy.

— Ja, ja pani... perebendja, wołociucha obidranyj... chodzę, taj spiewam dobrym ludziom...

Amazonce oczy zabłysły, niecierpliwie potrząsła głową.

On popatrzył na nią i uśmiechnął się:

„Ne za datkom ja idu...
Ot tak siadu zaśpiewaju,
Widspiewaju taj pidu...

odparł łagodnie.

— A cóż Moskale? Mogą teorbanistę pogonić na Sybir.

— Mogą...

— Nie lękacież się?

— Czego? ja między narodem.

— A jak cudzy podsłucha?

— To darmo — odparł — pójdę i ja temi szlakami gdzie poszło naszych tylu...

— Nie macież na świecie nikogo? Ojca, matki, rodziny?

Ponury ogień błysnął w oczach kobzarza.

— Miał, miał... miał ja chatę kiedyś... swoje pola, koło chaty sad wiśniowy... raj czysty na ziemi! Ta szczo z toho, porwali mnie z niego Moskale, na kraj świata zagnali! Miał matkę stareńką...

— Co z nią? — spytała Amazonka.

— Zabili Lachy... Miał jeszcze żinkę, a... — głos mu się w piersiach zatknął — jaką ja miał żinkę... Znacie pieśni nasze, a w tych pieśniach nasze krasawice... taką ona była...

— A z nią co?

— Zabili Lachy...

Głuche panowało milczenie. Kobzar spokojnie podniósł głowę i spojrzał dumnym wzrokiem dwojgu młodym w oczy. Stojący nieco bliżej akademik pochylił czoło ku ziemi. Amazonka jasnem okiem patrzała mu prosto w twarz. Kobzar chwilę popatrzył w jej lica... wyraz jego oczu zmiękł, w miejsce goryczy około ust osiadł mu uśmiech tęskny.

— Miał szczęście, pani — rzekł prawie łagodnie — rozerwali je wrogi... jak zawsze Moskwa z Polską...

Po twarzy Amazonki przeszła dziwna gra wyrazu.

— „Moskwa i Polska" — rzekła zwolna — jakie to smutne, jakie to smutne strasznie, a jednakże tak jest... Prawda wasza i nie wiele mamy na swoją obronę, musimy milczeć. Ot, do czego doprowadzili opiekunowie, cywilizatory ruskiego narodu! I powiedz że tu takiemu patrjocie, że jest złym Polakiem, że stawia imię Polski pod pręgierz obok Rosji imienia! Powiedzieliście tu przed chwilą, że nie ma nieszczęśliwszego od was narodu, a ja wam powiadam: nieprawda! Myśmy nieszczęśliwsi od was, bośmy zginęli przez winy swoje i dotąd mordujemy się sami. Trzebimy wady drugich, wytykamy je, rzucamy się, a jesteśmy ślepi i głusi na własne, te same niestety i wiecznie te same... Brniemy w nich i nie mamy siły, nie mamy odwagi uderzyć się w piersi, przyznać, że Ruś, to grzech, to wieczny kamień przywiązany do szyi narodu, nie pozwalający podnieść mu głowy. Wołamy: swobody! —

opowiedzą nam wrodzy nasi: a wiecież wy co swoboda? Chcecie wolności, oddajcie ją wprzód komu należy — chcecie być rozkuci, rozkujcie wprzód — nie chcecie być gnębieni, nie gnębcie, nie narzucajcie praw swoich, światła i miłości, której od was nie pragną... Nie wyciągajcie ramion do uścisku, który dławi.

Ukraina, to czarna karta w naszej historji — oko jej błysło. — O błogosławiony, kto pierwszy wydrze ją z tamtąd i wszyje natomiast: Złotą hramotę rozślubienia naszego...

Kobzar stanął przed nią i odkrył głowę.

— Czekajcie... wiem już teraz... Polska to wy! Wy jedni dobry i szlachetni, wy jedni co oddalibyście co czyje, swego nie straciwszy... wy, z sercem dzielnem i szerokiem, co ukochało prawdziwą, bo swoją w cudzej, cudzą w swojej swobodę!... Gdyby tak wszyscy wasi bracia zrozumieć to chcieli, gdyby wasz cały naród odezwał się do nas w te słowa... — stał przed nią z głową odkrytą, popatrzał dziwnie w jej oczy i dodał: — Polska była by Polską... Ukraina Ukrainą... My wam druhy!

Wyciągnął do niej zgrubiałą dłoń — Amazonka położyła na niej delikatną, wązką rączkę.

— „Kozacze, druże, brate...
Nesytyi pany, mahnaty
Nas rozidnały, rozwełły,
A my i dosyt' tak żyły...
Podaj że ruku Lachowi
I serce szczere podaj...
Daśt' Boh imieniem Chrystowem
Wozobnowim wasz wilnyj kraj!"

rzekła stłumionym głosem.

W siwem oku kobzara zabłysło coś jak łza...

— Tody, tody po stepach naszych huknie stare „Sława Bohu!" — rzekł z mocą.

Amazonki oko pociemniało — ręce ich długim splotły się uściskiem. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Od wschodu niebo zajaśniało, gwiazdy pobladły, noc wiosenna krótka pierzchła... Czumacy przy dogasających ogniskach drzemali... ptaki odzywać się poczęły w trzcinach.

Kobzar zarzucił teorban na plecy.

— Świtaje! - rzekł z dzikim natchnieniem. Spojrzeli na siebie.

— Daj Boże!

— Daj Boże!

I poszedł czarnym szlakiem ku Starokonstantynowi...

Amazonka zadumanem okiem patrzała za nim długo, potem przesunęła ręką po czole.

— Hej! Daniło! — zawołała przeciągle.

Duchem nadbiegł młody kozak z końmi. Ona teraz dopiero spojrzała na stojącego w zadumie akademika.

— Cóż Henryku? — spytała z uśmiechem zbierając cugle na szyi konia.

— Nic — odparł — jak zawsze podziwiam.

— Kogo?

— Ciebie!

— To niesłusznie — rzekła siadając na koń — podziwiaj, ale ich — wskazała na kozaka trzymającego jej strzemię.

Mołojec bystro spojrzał na swoją panię — ona się uśmiechnęła...

— A ty co?

— Ja? całą noc przeleżał na mogile...

— I spał?

— Czort by spał, nie człowiek. Mohyła nawidzona wsiu nicz do ucha rozmowlała, a teraz głowa jak nie swoja i dumka, dumku nalitaje...

— Wieczorem wszystkie mi wyśpiewasz!

Zebrała konia i z miejsca pomknęła, aż ziemia wyleciała z pod kopyt. Za chwilę trzej jeźdźcy zniknęli w mglistym stepie.

„Co to za jedni? — spyta może czytelnik — kto ten akademik, kozak i amazonka?"

Jeśli się kiedykolwiek autor o tem dowie, nie omieszka czytelników objaśnić.

KONIEC.

## RÓŻNOŚCI ZE ŚWIATA.

**Wyprawa arcyks. Marji Krystyny.** Teraźniejsza moda przyswaja niekiedy dawno już zapomiane stroje z czasów Ludwika XIII.

Wyprawa arcyks. austr. Marji Krystyny, przyszłej królowej hiszpańskiej, liczyć będzie wiele strojów w smaku tej epoki wykonanych.

Wspomnimy tu tylko sknię z błękitnego aksamitu haftowaną drogocennemi perłami a garnirowaną srebrnemi koronkami.

Suknia ta bez wątpienia wprawi w zachwyt damy Eskurjalu, a zdobiące ją koronki wzbudzą podziw misternością roboty.

Inną sknię jedwabną rypsową, z błękitnym aksamitnym stanikiem, zdobią pasy ze złotych i srebrnych koronek.

Królowa belgijska, ciotka arcyksiężniczki, przysposabiała dla niej w darze welon z koronek brukselskich z wyhaftowanemi na nim herbami królestw należących niegdyś do korony hiszpańskiej.

Ślubną szatę przyszłej królowej wyrobioną z białego jedwabiu przetykanego srebrem, otoczą girlandy z mirtu, kwiatu pomarańczowego i lilij.

W kielichach ich, godła rodziny Burbonów, błyszczą djamenty. W ogóle wyprawa przyszłej małżonki króla Alfonsa niejedną z kobiet przyprawi o westchnienie... zazdrości.

Są tam n. p. obrusy batystowe z herbami Austrji i Hiszpanji; pudermantle z koronek alansońskich.

Wartość każdego stanowićby mogła niezłe mienie dla zwykłego śmiertelnika.

Cała wyprawa Marji Krystyny przypomina tradycyjne bogactwo Habsburgów z czasów panowania ich w Hiszpanji.

### MYŚLI PESSYMISTY.

— Pierwsze kłamstwo podobnem bywa do pierwszego lichwiarskiego długu; dopisywanie procentów prowadzi do bankructwa i do utraty kredytu.

— Gdybyśmy umieli być szczerymi, oszczędzilibyśmy sobie nieraz wiele wstydu i upokorzenia.

— Na karb miłości składają się nieraz winy i grzechy, których pobudką istotną są kaprys, upór, namiętność, a nawet i chciwość; dlatego też miłość ma tak złą reputację.

— Kobieta, która potrafi zapomnieć na chwilę, że jest matką, zdolna jest do wszystkiego.

— Zdarza się, że im mniej nas ludzie cenią, tem więcej my zaczynamy cenić samych siebie.

— Ironja i szyderstwo — jeżeli nie pochodzą z wrodzonej złośliwości — są bronią rażącą często boleśniej tych, którzy się nią posługują, niż tych, przeciw którym jest zwróconą.

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.